



## PROLOG

**P**roszę. – Młoda kobieta podeszła do siedzącego na hali człowieka. – Dobra, ciepła zupa – powiedziała, podając mu miskę. – Pewnieście głodni.

Oparty o spory głaz krępy mężczyzna podniósł na nią wzrok. Wtedy go poznała – widywała go już wcześniej we wsi, kiedy była mała. Chodził trochę po prośbie, a trochę za pracą, ale go ludzie obśmiewali, że brzydki i nieporadny.

Prawda, szybko się okazało, że przybysz – nie wiadomo skąd, na co ludziska nosami kręcili – znał różne sztuczki i w kamieniu pięknie rzeźbił. Muzykę też grać umiał, choć dziwną, tęskną i smutną, a i głos miał taki, jakby spod ziemi się dobywał, więc się niektóre ludzie bali. I nikt go nie chciał pod dach przyjmować, a co najwyżej trochę strawy dawali. Pomieszkiwał więc po szałasach na hali, rzeźbiąc figury zwierząt, ludzi i fantastycznych stworów.

A potem się soltys na włóczęgę pogniewał, kiedy ten o rękę jego córki poprosił.

– Co mi tu będzie taki łachudra o najbogatszą pannę we wsi się ubiegał! – wrzasnął, a chłopci, podjudzeni, szybko chwycili w ręce grudy ziemi albo i kamienie i przepędzili przybłędę daleko, aż za przełęcz. Baby obśmiały go, zadowolone

z widowiska, a i z tego, że im do córek w konkury taki obdarius chodził nie będzie.

Tylko jedna mała dziewczynka patrzyła ze strachem i smutkiem, jak gonili dziwaka, który choć sam szpetny, tak pięknie grał na piszczałce i opowiadał baśnie, od których śniły jej się potem cudowne rzeczy: elfy tańczące wśród starych drzew okolicznego boru i koboldy wytwarzające z górskich skarbów wspaniałe bransolety, pierścienie i naszyjniki, jakich nie powstydzilyby się największe damy z dalekiego miasta.

Dziewczynka nie zapomniała o dziwnym grajku-rzeźbiarzu. Często wychodziła na przełęcz, w nadziei że znów go zobaczy, znów usłyszy dudniący głos roztaczający przed nią krainę baśni. I tylko ona zachowała po nim pamiątkę – nie do końca wyrzeźbiony kamyk w kształcie ni to człowieka, ni to fantastycznego stworzenia. Kiedy włóczęga odszedł, znikły wszystkie inne jego twory, jakby się pod ziemię zapadły, tylko tę jedną nieukończoną figurkę dziewczynka znalazła przy wielkim głazie na hali.

Teraz, dorosła już – za mąż na wiosnę wychodzić miała w pobliskim miasteczku – poczuła ukłucie w sercu na widok biedaka, który przysiadł pod wielkim głazem stojącym na granicy wioski. Palce zacisnęła na kamyku, który nosiła zawsze w sakiewce przy pasie.

– Pamiętam was – powiedziała cicho. – Czemuście wrócili tu, gdzie tylko zło was spotkało?

Odpowiedziało jej świdrujące spojrzenie czarnych jak noc albo podziemne jezioro oczu. W oddali zagrzmiało, choć jesienne niebo było jasne i pogodne.

– I ja cię poznaję – odparł mężczyzna, a jego nieładną twarz wykrzywił grymas żalu pomieszanego ze złością. – Dla tego dam ci radę, dziewczyno. Uciekaj, bo nieszczęścia wielkie spadną na tę wioskę.

Zatroskała się dziewczyna, jako że miała dobre serce, a rodziców swoich kochała, pozostałym zaś mieszkańcom źle nie życzyła. Zrozumiała jednak, że ten człowiek przyszedł pomóc doznanej niegdys krzywdę.

Huk w oddali brzmiał teraz, jakby którymś ze żlebów szła kamienna lawina.

- Nie ucieknę sama jedna - odrzekła hardo.

- Ty jedna mnie pożałowałaś, kiedy wszyscy we mnie kamieniami ciskali. Ty jedna więc ocalejesz.

Dziewczyna poczuła, że po policzku spływa jej łza.

- Kiedy byłam mała, widziałam w was dobrego człowieka, którego moi pokrzywdzili - wyznała, szlochając. - Ale wy tacy sami jak oni, jakże to tak?

Czarne oczy świdrowały ją na wylot.

- Jaką cenę jesteś skłonna zapłacić za ocalenie wioski? - zapytał w końcu wędrowiec.

- Jakiegokolwiek zażądacie - odrzekła, połykając łzy.

- I za mąż byś za mnie wyszła, nie tak jak sołtysówna? - zapytał, wstając.

Był niższy i jeszcze brzydszy, niż wydawał się jej w dzieciństwie. Grzmot lawiny przybliżał się. Po hali toczyły się niewielkie kamyki, porywając ze sobą coraz większe.

- Wyszłabym - odpowiedziała bez wahania.

Mężczyzna uniósł rękę i huk umilkł, a kamienie zatrzymały się w miejscu.

- W takim razie czekaj tu na mnie w wiosenną równonoc - powiedział, po czym znikł.

Mijały miesiące. Dziewczyna nie opowiedziała nikomu o swojej przygodzie, ale z niepokojem wyglądała wiosny, choć jeszcze tak niedawno cieszyła się na swój ślub. Nie miała serca powiedzieć narzeczonemu, że już ona nie jego. W równonoc odejdzie, by nigdy nie wrócić, on w końcu znajdzie szczęście

z inną i żaden z mieszkańców wioski nie będzie wiedział, komu zawdzięczają ocalenie.

Nie miała żalu do losu. Jej przyszły małżonek może nie był piękny i kształtny, ale pocieszała ją myśl o cudownej muzyce i domu pełnym niezwykłych kamiennych istot.

Nadeszła w końcu wiosna i w ową noc, kiedy przyroda ożywa na nowo, dziewczyna, nie mówiąc nic nikomu, powędrowała ku wysokiej hali, aż prawie na samą przełęcz, pod wielki głaz. Nie ujrzała tam jednak niskiego mężczyzny w łachmanach, ale księcia koboldów w szacie mieniącej się klejnotami. W wyciągniętej ręce trzymał złoty pierścień, w który wprawiony był prawdziwy kryształ górski. Zadrzało serce dziewczyny na ten widok, a przed jej oczami stanął młody ukochany, od którego dostała tylko miedziany pierścionek ze szklanym oczkiem, bo na więcej biednego nauczyciela nie było stać.

Schyliła jednak pokornie głowę, wiedząc, że ceną za życie jej bliskich jest to, że zamieszka w komnatach pod górami, gdzie nie dochodzą promienie słoneczne, a światło dają jedynie piękne kamienie.

- A gdzie twój narzeczony? - zapytał kobold.

Rozejrzała się zdumiona. Czyżby jednak miała zostać żoną jednego z poddanych księcia, grajka-rzeźbiarza, który odwiedził ich wioskę? Zacisnęła palce na kamiennej figurce, jak zawsze spoczywającej w sakiewce.

- Dotrzymałaś słowa, dziewczyno, ocaliłaś swoich - powiedział tymczasem książę. - Przyprowadź tu narzeczonego, do którego żalu żadnego nie mam, a dostaniecie moje błogosławieństwo, wy i wszyscy wasi potomkowie.

Pobiegła, jakby frunęła na skrzydłach, aż do miasteczka i następnej nocy przyprowadziła nauczyciela do księcia koboldów, na halę, pod wielki głaz. Ku jej zdumieniu zastali

tam tylko starego włóczęgę. Narzeczonego był jednak mądrym człowiekiem i przejrzał podstęp księcia, powiedział więc:

- Dziękuję ci, wielki panie, że chcesz udzielić nam błogosławieństwa.

Wtedy kobold podał mu złoty pierścień z kryształem górskim, a narzeczonego włożył go na palec dziewczynie.

- Pamiętajcie - powiedział im jeszcze książę przebrany za starego żebraka - że od dziś góry nie będą miały dla was żadnych tajemnic i nigdy krzywda was najmniejsza od nich ani ich stworzeń nie spotka.

Po tych słowach zniknął, a młodzi wzięli niebawem zwykły ślub i żyli długo i szczęśliwie u stóp wysokich gór, przechadzając się niekiedy po wspaniałych pałacach koboldów, które otwierały przed nimi podwoje. Nigdy jednak nie spotkali - ani oni, ani ich potomkowie - księcia ani też żadnego z jego poddanych. Tylko dary kobolda wraz z opowieścią o błogosławieństwie przekazywano w rodzinie z pokolenia na pokolenie przez wiele stuleci.



# 1

HANKA



## CIEMNA STRONA

Nawet się nie spodziewałam, że reszta roku upłynie mi tak... zwyczajnie.

Po powrocie znad Gopła dobry tydzień zajęło mi przekonanie samej siebie, że już po wszystkim, że policja lada moment znajdzie Jolantę-Dragomirę (przecież MUSZĄ ją aresztować za próbę kradzieży cennego artefaktu ze stanowiska archeologicznego, co nie?), a magiczny sztylet wylądował na samym dnie skrzyni w najdalszym końcu wielkiego, ale to naprawdę wielkiego muzealnego magazynu.

Po mniej więcej dziesięciu dniach zaczęłam sypiać spokojnie, mimo że Jolanta zapadła się pod ziemię, co oznaczało, że przebywa na wolności. Może poszłoby mi szybciej, gdyby mama nie uwierzyła, jeszcze na wakacjach, że cierpię na coś, co się nazywa „sennowłóctwo”, inaczej „somnambulizm”. (Przeliterowałam, nie ma błędów. Założę się, że nawet Igor nie zna tych słów).

Rodzice wcale nie zapomnieli mojej ściemy po nocnej wyprawie przeciw Popielowi, kiedy to udawałam, że chodziłam przez sen. Zaraz po powrocie znad Gopła mama poszła ze mną do pani doktor psychiatry, żeby przedyskutować sprawę. Teraz już mogę się przyznać, że strasznie się przed tą wizytą denerwowałam, jak

się okazało – niepotrzebnie. Po nawet dość miłej rozmowie (staralam się unikać jasnych odpowiedzi na skomplikowane pytania dotyczące przeżyć podczas wakacji) wyszliśmy z gabinetu z długą listą zaleceń. Miałam spędzać dużo czasu na świeżym powietrzu (okej), kłaść się wcześniej (o nie!), spać dłużej (może być), drzeć w ciągu dnia (cooo?! ) i zredukować wszelkie czynniki, które wprowadzają w moje życie niepokój i stres.

– Czy to znaczy, że mogę nigdy więcej nie widywać Leszka? – zapytałam w drodze do domu.

– Hanka... – jęknęła mama. – To jest poważna sprawa, daj sobie wygłupy, dobrze? Może to był pojedynczy incydent, ale trzeba zadbać, żeby nie doszło do nawrotów. Będziemy przestrzegać zaleceń lekarskich. Zabezpieczymy twój pokój, żebyś się nocą o nic nie potknęła i nie zrobiła sobie krzywdy, kupimy rolety zaciemniające... Wszystko się ułoży. Jest zresztą spora szansa, że z tego wyrośniesz, pani doktor mówiła, że problem lunatykowania zwykle dotyczy dzieci i młodszych nastolatków.

Nie ma szans, pomyślałam ponuro. Żeby wyrosnąć z... jak to było, sennowłóctwa?... musiałabym najpierw na nie zapaść. Tyle mi przyszło z kręctw. Zawsze chciałam być jak Loki, a kiedy raz udało mi się skłamać skutecznie, to ta mała wycieczka na ciemną stronę mocy i tak obróciła się przeciwko mnie. Ale łgarstwo było w sumie mniejszym złem – też byście nie chcieli, żeby wasi mama, ojczym i młodsza siostra dowiedzieli się o istnieniu upiora Popiela, prawda? Mimo to musiałam przez resztę lata i całą jesień kłaść się spać wcześniej i, co gorsza, praktykować poobiednie leżakowanie bez komórki, czytnika i telewizji, bo niebieskie światło pobudza, bla, bla, bla. Wytargowałam przynajmniej zgodę na słuchanie podcastów i audiobooków.

Z nadejściem roku szkolnego częstość drzemek uległa na szczęście zmniejszeniu – plan lekcji nie pozwalał codziennie wygospodarowywać czasu na spanie po południu. Mama nie była



zadowolona, ale jakoś to zaakceptowała, zwłaszcza że epizod lunatykowania się nie powtórzył. Jakie to dziwne, prawda?

W każdym razie powrót do szkoły z jednej strony trochę ułatwił mi życie, z drugiej jednak nie przyniósł specjalnej satysfakcji. Przez ostatnie dni wakacji starałam się za wszelką cenę skompletować żeńską drużynę futbolową, ale udało mi się znaleźć tylko dwie dziewczyny. Chodziły do równoległych klas i miałam je w znajomych na fejsie. Zaraz na początku września wrzuciłam też ogłoszenia na wszystkie szkolne strony i w ten sposób znalazłam jeszcze jedną chętną. Ciągle jednak było nas za mało, by drużyna Rusalek mogła zaistnieć i, co ważniejsze, wystartować w Turnieju o Piłkę Szygara. Musiałam się zadowolić cotygodniowym nieoficjalnym treningiem na szkolnym boisku i obserwowaniem postępów Promienistych (odpadli w jednej ósmej, dobrze im tak). Jedna z dziewczyn zapytała mnie kiedyś, czemu nie chodzę na SKS.

– Bo jest nudny – odpowiedziałam bez namysłu. – Na zajęciach Kucyk jest tylko taniec i fitness. To bez sensu.

– Wcale nie – zaprotestowała Danka. – Ja chodzę i w sumie jest spoko. Poza tym pani Kucek jest fajna. Przyjdź kiedyś, co? Jak będzie nudno, to zrezygnujesz.

W sumie, pomyślałam, czemu nie? Okazało się, że owszem, taniec i fitness są nieciekawe, ale mniej, niż podejrzewałam. Prawie nie-nudne. Z braku lepszego zajęcia zaczęłam chodzić na SKS dla dziewczyn i nawet się wciągnęłam. Dalej wolałabym grać w piłkę, ale nie jest tak źle, jak się obawiałam.

Igor napisał do mnie trzy listy, każdy po pięć kartek. Ręcznie. Zielonym atramentem. Specjalnie w tym celu kupionym. Odpowiedziałam mu na każdy, w tym na dwa mailem. Istnieją jakieś granice poświęcenia dla przyjaciół.

Pierwszy list zawierał obiecany spis ulubionych książek. Poza *Władcą pierścieni* nie znałam ani jednej. Na pierwszym miejscu było coś, co nazywało się niezbyt zachęcająco: *Hrabia Monte*

*Christo* – postanowiłam dać temu szansę, więc zaczęłam szukać audiobooka. Kiedy go znalazłam, przez chwilę nie wierzyłam własnym oczom. Czterdzieści sześć godzin nagrania?! Ktoś się musiał pomylić.

Pomyłki nie było. Wysłuchanie tej książki naprawdę zajmuje tyle czasu. Miałam zapewnioną rozrywkę na wszystkie leżakowania aż do świąt. Znajac Igora, na pewno przeczytał ją sam, i to kiedy miał, bo ja wiem, osiem lat. Najwyżej dziesięć.

Miesiące mijały znaczone kolejnymi przygodami hrabiego (całkiem fajne, ale wołałabym film, bo nie byłoby w nim dziwnych słów i długich opisów), zajęciami z fitnessu i przymusowymi drzemkami. W Wigilię, po tym jak wujek przypalił mak, a mama rozgotowała pierogi, byłam prawie pewna, że do domu zakradło się lichy, i nawet próbowałam je namówić do ujawnienia się, wykorzystując do tego czekoladowe sopolki, takie na choinkę. Nie wylazło, ale za to okazało się, że dziadek Jasiiek zna o nim kolędę. Wołałam jednak za bardzo nie dociekać, co to ta „mizerna, cicha stajenka licha”. Kiedy spytałam o to Igora – zadzwoniłam złożyć mu życzenia po tym, jak dzień po świątach poczta dostarczyła kartkę od niego, elegancko wypisaną tym razem czerwonym atramentem – usłyszałam w słuchawce tylko dziwne pokaszływanie, a potem uprzejme pytanie:

– Żartujesz, prawda?

Ech, Igor.

Wigilię spędziliśmy z rodziną, co znaczy, że przyszli wujek i ciocia, oczywiście z Leszkiem. Po przygodzie z Dragomirą (czyli rzekomym porwaniu przez CIA) mój kuzyn zrobił się jeszcze bardziej nieznośny. Był przekonany (przeczytał wszystkie doniesienia prasowe na ten temat), że cudem uniknął śmierci z rąk tajnych agentów i/lub mafii przemytników zabytków – niepotrzebne skreślić. Bardzo żałowałam, że nie mogę mu powiedzieć, jak wyglądała prawda.

– Życzę ci, żebyś była mniej zarozumiała – powiedział, składając mi świąteczne życzenia. – I żeby spotykały cię przygody mniej ekscytujące niż te moje. Nie dałabyś sobie z nimi rady. Już teraz podobno nie sypiasz po nocach, prawda?

Policzyłam w myślach do dziesięciu i odpowiedziałam:

– Dziękuję, bardzo miło z twojej strony. Ja z kolei życzę ci, żebyś się w nowym roku zachowywała mniej bezsensownie niż w mijającym. To nie będzie trudne, biorąc pod uwagę, jak monstrualną głupotą wykazałeś się...

W tej właśnie chwili wujek Stefan bardzo stanowczo kazał Leszkowi iść złożyć życzenia mojej mamie, a mnie zagonił do rozlewania kompotu. Ciekawe dlaczego.

Generalnie jednak nie było źle. W szkole jakoś mi szło, rodzina – pomijając chwilową wigilijną wizytę licha – miewała się dobrze, Lena polubiła zerówkę, a Leszek, na szczęście, nie miał zbyt wiele czasu, bo poszedł do liceum, gdzie chyba średnio mu szło z nowymi kolegami. Najbardziej irytowały mnie drzemki, nawet mimo zgody na słuchanie książek. Wierzyłam po cichu, że uda mi się namówić rodziców do całkowitej z nich rezygnacji.

Pewnego dnia zaraz po świętach leżałam w pokoju, słuchając końcówki *Hrabiego Monte Christo*, kiedy z szuflady dobiegł mnie dźwięk – jak to Igor mówił? – baroku. Znaczy odezwała się zamknięta tam komórka. Zdażyłam od wakacji zmienić główny dzwonek, a ten (fragment hymnu Ligi Mistrzów) zostawiłam przypisany do trzech kontaktów: Igora, Lilianny i Aliny. Dzwoniła ta ostatnia.

Uznałam, że telefon od przyjaciółki to wypadek zdecydowanie uzasadniający przerwanie obowiązkowej drzemki. Odebrałam.

– Cześć. Co tam?

Odpowiedziała mi chwila ciszy, a potem jakieś dziwne odgłosy, jakby... gdakanie?

– Alina? – spytałam niepewnie.

– Och, cześć. – W końcu usłyszałam ludzki głos. – Hanka? Słuchaj, dzwonię, bo powinnaś wiedzieć, że mamy problem. Chyba... – uściśliła.

– To znaczy? – Powstrzymałam się od dodania tonem Obi-Wana, że mam złe przeczucia. Nie byłam do końca pewna, jak u Aliny ze skojarzeniami.

– W naszym ogrodzie – wyjaśniła – wylądował kogut.

Aha... czyli jednak naprawdę słyszałam gładkanie.

– No wiesz, kogut Twardowskiego – kontynuowała. – Mówi, że przyleciał z Księżyca i że szuka mistrza, który nie wrócił po spotkaniu z Daleborem...

– Dalek-co? – przerwałam jej.

– Daleborem – powtórzyła. – Dalebor to starszy Myszków, przełożony Racimira i Mścigniewa-Nikiego...

No tak. Ten Dalek z boru to Myszko. Mogłam się domyślić.

– W każdym razie kogut bardzo się martwi. Znalazł mnie, bo mistrz kontaktował się ze mną w sprawie obozu. Oczywiście chciałam zawiadomić Igora, ale nie mogłam się do niego dozwonić, bo pojechał do dziadków w góry, a tam jest marny zasięg. Jeżeli mistrz Twardowski nie dotrze do Małego Bystrego, to nie wiem, co zrobimy.

– Jak to nie wiesz? – zapytałam, starając się brzmieć jak najbardziej pewnie. – Będziemy musieli go odnaleźć.

W tej samej chwili poczułam mocne swędzenie ręki. A więc na dodatek ta przekłeta rana zaczęła dawać o sobie znać.

– Przyjedź do Krakowa – poprosiła Alina.

Łatwo powiedzieć. Wymruczałam w odpowiedzi, że to prze myślę i żeby się trzymała.

Przez resztę nocy przyglądałam się niebu przez teleskop, który dostałam na Gwiazdkę, i nagle coś przyszło mi do głowy. Co jeżeli mistrz Twardowski znajduje się gdzieś tam, gdzie nie jesteśmy w stanie zajrzeć? Gdzie nikt, nawet jego magiczny

kogut go nie widzi? Na przykład po drugiej stronie Księżycy? Przecież on ponoć mieszka na Księżycu! A w komiksach na ciemnej stronie jest mnóstwo rzeczy, najczęściej tajne bazy złośli – może rzeczywiście ktoś uwięził tam Twardowskiego?

Chciałam od razu napisać o tym Alinie, ale się powstrzymałam – o takich sprawach lepiej porozmawiać osobiście. Być może nawet odważę się powiedzieć jej o ręce. O tym, że bywają dni, kiedy zadana przez Dragomirę rana nieprzyjemnie poboлева. I o tym, że wtedy bardzo, bardzo nie lubię kłaść się spać – bo wolę nie wiedzieć, co tym razem mi się przyśni.

O świcie podjęłam decyzję: ubłagam mamę, żeby pozwoliła mi pojechać jeszcze przed sylwestrem do Krakowa. Potrzebowałam spotkać się z przyjaciółką, a mistrz Twardowski potrzebował naszej pomocy.